

Młodzieńczy Lot

Czasopismo wydawane staraniem Gminy Szkolnej
uczenic Państwowego Gimnazjum Żeńskiego im. E. Szanieckiej w Łodzi

Rok. III.

Styczeń — Luty 1932 r.

Nr. 13.

Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej z okazji
Imienin zasyłamy wyrazy czci i hołdu oraz naj-
gorętsze życzenia

Gmina uczenic państwowego gimn.
im. E. Szanieckiej w Łodzi.

Nie wierzcie, nikomu nie wierzcie,

że świat jest zły,
że życie złe;
w świat tylko ze sobą zabierzcie
młodzieńcze sny,
miłości skrę;
w świat tylko ze sobą zabierzcie
uśmiechu dar,
dobroci kwiat.
uwierzcie, o mocno uwierzcie:
życie ma czar,
piękny jest świat.

H. Tylmanówna, abs.

Egoizm i altruizm.

Nieraz szarą, wieczorną godziną zastanawiam się bardzo poważnie na temat egoizmu i altruizmu. Natura ludzka jest tak stworzona, że jest w niej 90% egoizmu. Każdy człowiek ma swoje „Ja”, które w wielu wypadkach nie pozwala na zrobienie tego lub owego dobrego czynu, bo w związku z jego wykonaniem jest coś, co przynosi ujmę naszemu „Ja”. Lecz tak samo, jak pracujemy nad swoim charakterem, ażeby stać się lepszymi i dzielniejszymi i praca nasza bardzo często nam przynosi pożądane rezultaty, możemy pracować nad tem, ażeby pozbyć się choć trochę pobudek egoistycznych. Słyszałam kiedyś takie zdanie, wypowiedziane przez jednego psychologa, że największy nawet altruizm wypływa z egoizmu. Doprawdy, jest to zagadka bardzo poważna i trudna do rozwiązania. Być może, że często człowiek, czyniąc coś dla ogółu, pracując z zaparciem się siebie, widzi w tem także swój cel. Dużo, nawet zbyt dużo mamy na to przykładów w historii. Każdy wielki człowiek, wielki wynalazca, wielki bojownik, który poświęcił się dla społeczeństwa, dużo dla niego zrobił, działał jednak, widząc w tem swój ukryty cel np. sławę. Znane jest przecież powiedzenie Słowackiego: „Z wszystkich nędz najstraszniejsza — ludzkie zapomnienie” — czyli, że wielką rolę odgrywała sława w życiu Słowackiego. Wszędzie ten egoizm. Być może, że człowiek, który z zupełnem zaparciem się siebie pracuje dla ludu, działa także z pobudek egoistycznych, gdyż może właśnie jemu taka praca dogadza, on zaspakaja swoje dążenia, które mu nakazuje jego „Ja”. Jednak trudno sobie wyobrazić, aby człowiek, który żyje w ubóstwie, jest otoczony wrogimi twarzami, toczy go jad nędzy, widział w tem coś nadzwyczajnego, coś, co przynosiłoby mu jakikolwiek pożytek, co zaspakajałoby jego egoistyczne dążenia. Trudno sobie wyobrazić, aby na świecie nie było człowieka, naprawdę dobrego człowieka, któryby w zupełności zasłużył na swoje miano. Nie byłoby wtedy szlachetnych marzeń, porywów, jednym słowem: nie byłoby tego, co jest na ziemi najpiękniejsze. Jedno powiedzenie, że altruizm wypływa z egoizmu rozbija wszystko. Wobec tego nie powinniśmy do tego dopuścić. Powinniśmy zatracić swoje „Ja”, powinniśmy żyć dla społeczeństwa, powinniśmy pracować dla idei, bo tylko w ten sposób możemy być prawdziwymi altruistami. Możemy się przecież zdobyć na tyle siły woli, aby zato, co zrobimy, nie żądać nawet w duchu nagrody. Zastanówmy się, jakie korzyści przynosi światu altruizm. Jednostka silna i dzielna pracuje dla społeczeństwa. Ileż ona może zrobić dobrego.

Weźmy pod uwagę dobrą dzisiejszą, stosunki, jakie dzisiaj panują. Ileż jest jeszcze do zrobienia, jak szerokie pole do działania może mieć ten, kto pragnie poświęcić się dla ogółu. Nasz lud nie jest oświecony, trzeba jeszcze dużo pracy i trudu poświęcić nato, aby chłopu uobawytelnić, aby wpoić w niego zasady kultury. Przyczyniają się do tego wynalazki techniczne, ale ich rola jest późniejsza.

Taka sama jest praca wśród ciemnych mas robotniczych. Niechże

człowiek ze sfer inteligentnych nie lęka się, że biała jego dłoń zbrudzi się, gdy poda rękę robotnikowi lub wieśniakowi.

Tak się realizuje zasada równości społecznej, która winna być wprowadzona w czyn, bo zbyt mało znaczą hasła, drukowane w gazetach: „Równość”, „Braterstwo” i t. p. Trzeba czynu! A taki czyn może wypływać tylko z pobudek altruistycznych. W nas samych winno zostać jedynie głębokie zadowolenie wewnętrzne, że przyczyniliśmy się do pracy dla dobra ogółu. Oto altruizm, a egoizm? Ten zabija u nas szlachetne porywy, ideały. Myślmy tylko o tem, aby praca przyniosła nam korzyści.

Pamiętajmy: „Kto dla siebie pracuje, ten siły utracą”. Skądże ma czerpać egoista siłę duchową do wytrwania w dobrem? Niezrozumiałem jest znowu powiedzenie psychologa, bo przecież mimo wszystko są na ziemi altruści, są ludzie, którzy mogą wytrwać na stanowisku, bo w sercach ich płonie żar ideałów społecznych, bo tu znajdują podporę i obronę przeciw przeciwnościom. Skąd ma czerpać tę podporę egoista, czy tylko w dążeniu do sławy? Doprawdy, zagadka!

Stępieniówna Stefanja. (V kl.)

Od Redakcji: Prosimy Koleżanki o dyskusję na temat powyższy!

Jakie cechy charakteru należy w sobie wyrabiać, aby stać się jednostką silną i dzielną.

Temat ten można różnie rozwinąć. Ja, chcąc uwydatnić, jaki charakter powinna mieć jednostka, stawiam ją na tle ogółu i wspominam o znaczeniu jednostki w społeczeństwie. W ten sposób wyłaniają się pewne wnioski co do charakteru jednostki, które potem rozwinę i uzasadnię.

Bardzo często można zaobserwować, że ktoś daje inicjatywę, do której urzeczywistnienia potrzeba sił zbiorowych. Wtedy inicjator spotyka się z oporem, nie wypływającym z braku sympatji dla przedstawionego projektu, lecz z jakiegoś dziwnego przekonania, że wszelkie usiłowania w kierunku urzeczywistnienia go okażą się bezskuteczne.

Odezwą się zaraz różne zdania: „To się może nie udać. Naco próżne wysiłki”. Podobne słowa, świadczące o braku wiary we własne siły, urażą nieraz najlepsze chęci. Jednostka zaś, którą spotka tego rodzaju niepowodzenie, jest przekonana o bezskuteczności swych usiłowań, poddaje się biernie okolicznościom, uspokajając sumienie: „Cóż ja znaczę wobec ogółu?” Osądzając daną jednostkę krytycznie, dochodzę do wniosku, że ona odstąpiła od swego przedsięwzięcia głównie z powodu słabej woli i braku wytrwałości. Przypuszczam też, że jednostka, obdarzona wolą i wytrwałością, zdziałać mogłaby dużo w społeczeństwie.

Naturalnie, im ta jednostka będzie mądrzejsza, silniejsza, świadomsza swoich środków, a przede wszystkim im szczerzej, goręcej odda się swoim celom, poświęci im wszystkie swe myśli, tem działalność jej będzie skuteczniejsza. Jakże często jednak realizator przeszkadza sam sobie, gdyż nie umie zrobić ofiary z miłości własnej, ambicji, dumy i cofa się przed przedsięwziętą pracą, gdy te uczucia są podrażnione. Należy pamiętać, że aby pracować skutecznie, trzeba zapomnieć o sobie; często, gdy tego zajdzie potrzeba, zejść ze stanowiska przywódcy do stanowiska szeregowca. Ale gdyby i cel nie został osiągnięty, nie można sądzić, że usiłowania są zmarnowane. Któż bowiem odgadnie, jakie następstwa może wywołać indywidualna, chociażby odosobniona działalność? W ten sposób nawet ci, którzy nie posiadają wpływowego stanowiska w społeczeństwie i mają tylko możliwość oddziaływania na bardzo szczupłe kółka najbliższych, mogą przyłożyć choćby skromną cegiełkę do ogólnego dobra, byle tylko mieli chęci i dostateczną energję. Jednostka zatem, która ma względem społeczeństwa obowiązki, nie będzie lekceważyła swych sił, a tem bardziej największej siły i potęgi człowieka: charakteru.

Tyle nasunęło mi się na myśl o znaczeniu jednostki w społeczeństwie i doszłam do wniosku, że, aby być zdolną do spełnienia obowiązków społecznych, należy wyrobić w sobie silny i dzielny charakter. Na siłę jego składają się pewne cechy, z których najważniejszymi są: silna wola i wytrwałość. Posiadając te dwie cechy charakteru obok żywej myśli, jednostka może poruszyć masy, dać początek nowym instytucjom. Wiele jest takich przykładów w życiu. Np. za sprawą jednostki, odczuwającej nędzę bliźnich, której siłę stanowi jedynie dobre serce, silna wola, wytrwałość, powstają dobroczynne instytucje i dzięki nim wiele kalek i sierot zostaje uchronionych od nędzy. Z siłą woli i wytrwałością powinna się łączyć pracowitość, ponieważ wytrwałą pracą potrafi człowiek dokonać poprostu cudów. Wielki wynalazca Edison powiedział o sobie, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent tego, czego dokonał, zawdzięcza swej wytrwałej pracy a tylko jeden procent genjuszowi. Inne cechy charakteru, jak: obowiązkowość, punktualność wynikają z silnej woli. Człowiek, posiadający silną wolę, jest punktualnym i obowiązkowym.

Jeżeli każda jednostka będzie dbała o podobne ukształtowanie charakteru, to wtedy całe społeczeństwo stanie na bardzo wysokim stopniu moralności, a co za tem idzie — cywilizacji. Ktoś mógłby jednak powiedzieć: „No, dobrze! Ja wszystko spełnię dla ogółu, ale co ja za to zyskam?” Należy mu odpowiedzieć: Na tej drodze, którą jedynie może wskazać wysoka moralność, znajduje się szczęście, to prawdziwe, upragnione szczęście!

Mickiewicz mówi: „Człowiek nie jest stworzony na łyzy ni uśmiechy, ale dla dobra bliźnich swoich — ludzi.” Szczęście zatem znajduje się w szerokim kole radości i cierpień ogółu. Praca dla społeczeństwa, walka ze złem, miłość bliźniego, wyolbrzymiona aż do czynu, to godne człowieka szczęście i szukać go należy na drodze wielkiej doskonałości moralnej. Przed niedolą zaś nie należy uciekać, ponieważ: „... niedola hartuje i wykuwa dzielne charaktery.”

Z. Kawecka (V kl.).

Od redakcji.

Koleżanki! Wszystkie wiemy o tem, jakie ciężkie koleje przechodzi obecnie cały świat gospodarczy.

Jakkolwiek brak nam jeszcze bezpośredniego zetknięcia się z życiem i jego bolączkami, to przecież każda z nas codziennie odczuwa w mniejszym lub większym stopniu skutki tego, co rozumiemy pod słowem „kryzys gospodarczy”. Fatalny ten wyraz jest dziś na ustach wszystkich a oznacza bankructwa, upadłości, redukcje, bezrobocie, nędzę tysięcy rodzin. Kryzys ten w Polsce ma mniej ostry przebieg niż w innych państwach, a przecież i u nas wielką jest klęską. Nędza wkrada się dziś coraz szerzej w życie i wyciska wszędzie swe złowieszcze piętno. Nie kryje się już ona jedynie w suterenach i lepiankach przedmieścia, lecz wypelza na główne ulice miasta, rzuca się w oczy przechodniom, strasząc ich groźnym swem widmem. Obserwujemy codzien na ulicach ponure postaci bezrobotnych, snujące się ciemnymi gromadami, patrzymy na ich dzieci, jak obdarte i brudne bawią się w rynsztokach lub żebrzą na ulicach. Jakże często dowiadujemy się z opowiadań lub gazet o strasznych wypadkach samobójstw, zasłabnięć z głodu lub o kradzieży.

Bieda i nieszczęścia nietylko wycieńczają lecz demoralizuje ludność najniższych warstw społecznych.

Do walki z kryzysem, bezrobociem i nędzą stają dziś za przykładem rządu wszyscy obywatele pośrednio przez opłaty, podatki lub bezpośrednio w komitetach i zrzeszeniach niosąc pomoc najbiedniejszym. A my, młodzież szkolna, wychowująca się na dzielnych obywateli państwa, czyż mamy obojętnie patrzeć na nieszczęście społeczeństwa?!

Czyż sprawy jego mają nam być teraz obce, skoro już wkrótce stanąć mamy do pracy dla jego dobra, do której już teraz się przygotowujemy?

Tak być nie powinno i tak nie jest.

Idziemy wraz ze starszem społeczeństwem do rodzin, dotkniętych klęską bezrobocia i w miarę naszych sił organizujemy pomoc.

Pragniemy, aby wszystkie koleżanki ochotnie, po obywatelsku stanęły z nami do pracy. Jest nas pięćset, możemy pomoc chociażby pięćdziesięciu rodzinom!

Drużyna Baśki Wołodyjowskiej wobec klęski bezrobocia.

Kryzys gospodarczy objął prawie wszystkie dziedziny handlu i przemysłu. Mamy ludzi zajętych w ogromnych fabrykach; gdy te stanęły, znaleźli się oni w rozpaczliwym położeniu materialnem. Ojcowie rodzin, po kilka godzin wystawali przed fabrykami, dopytywali się wszędzie, szukając pracy, ale napróżno, nigdzie nie brakuje robotnika, przeciwnie — zbywa.

Wprawdzie duża część bezrobotnych dostawała zapomogę, ale cóż znaczyło 10 zł. tygodniowo dla rodziny, składającej się z kilku osób. Widmo nędzy zaczęło poważnie zagrażać biednej ludności miast fabrycznych. Nie wszystkie jednak warstwy społeczeństwa tak dotkliwie odczuły kryzys gospodarczy. Ludzie zamożniejsi, widząc nędzę bezrobotnych, zaczęli organizować się w komitety i zrzeszenia, celem częściowego chociaż zaradzenia szerzącej się biedzie.

Komitety te, zorganizowane dobrze, zaczęły działać sprawnie. Przewszystkiem zajęto się dożywianiem rodzin, które nie miały znikąd pomocy.

Czytając i słysząc ciągle o działalności i ofiarności różnych zrzeszeń, nasze „Harcerstwo” nie pozostało w tyle.

Wzięliśmy się z prawdziwym zamiłowaniem do tej trudnej pracy. Trudność ta przedstawiała się w tem, że koleżanki, aczkolwiek harcerki, nie zawsze z chęcią przynosiły paczki. No, ale po paru dniach zebrałyśmy dość sporą ilość artykułów spożywczych i można już było zanieść je do biednej rodziny.

Trudności w szukaniu tej rodziny nie miałyśmy, gdyż komitet dostarczył nam kilka adresów.

Pierwsza wizyta u tej rodziny przypadła mnie. Pogoda wprawdzie nie dopisała, ale trudno, poszłam aż na Radogoszcz, gdzie znajdowała się nasza rodzina.

Z wielkim trudem udało mi się wejść po trzęsących się schodkach na górę, gdzie w małym mieszkanku, czystym, ale biednym, znajdowała się rodzina, złożona z czworga osób.

Rodzina ta znajdowała się w bardzo trudnym położeniu: ojciec rodziny, ani nie pracował, ani nie dostawał zapomogi; żona chora, a dwoje dzieci chodzi do szkoły.

Ze łzami w oczach dziękowali nam za przyniesione pokarmy. Słyszałam też, jak chora kobieta szeptała cicho, że jednak Bóg o nich nie zapomniał i że są jeszcze dobrzy ludzie, którzy pamiętają o nędzy i nieszczęściu innych.

Gdy wyszłam, czułam się dziwnie nieswojo. Ileż to razy krzywiłam się i narzekałam na swój los, teraz, gdy poznałam nędzę w całej jej okazałości, czułam, jak bardzo grzeszyłam, uważając się za nieszczęśliwą.

Te moje domniemane nieszczęścia wydały mi się niczem w porównaniu z nędzą życiową, z ciągłą walką o chleb codzienny. Wracając do domu, postanowiłam — pracować, pracować jak najwięcej, aby być jednostką użyteczną i aby móc dopomagać innym. Przyszły mi na myśl słowa jednej z naszych nauczycielek: „Uczcie się, dziewczynki, bo żadna z was nie wie, co ją czeka w życiu”. Tak, ja nie mogę jeszcze pracować tak, by ulżyć ludzkiej niedoli, ale nie każdy potrzebuje pomocy materialnej.

I ja nie wiem, co mnie w życiu czeka. Tymczasem postanowiłam uczyć się i wypełniać sumiennie swoje obowiązki.

Co tydzień zносиły coraz to inne koleżanki paczki do tych biedaków, każda przychodziła jakaś poważniejsza i długie nieraz dysputy pro-

wadziłyśmy na temat bezrobocia, naszego życia i pracy, którą możemy pełnić, niosąc ulgę niedoli ludzkiej.

Tak więc z zajęcia się naszego biedną rodziną wypływały dwie wielkie korzyści: jedna dla niej — druga dla nas.

Zbliżało się Boże Narodzenie, ileż ono niesie radości i zadowolenia. Trzeba było myśleć o naszych biedakach, wszak i oni muszą zaznać radości, ten dzień tak wielki i oni muszą spędzić wesoło. Przedewszystkiem zajęłyśmy się zbieraniem ciepłych ubrań; udało nam się nadspodziewanie. Rozgorączkowane pakowałyśmy paczki myśląc, ileż to jutro będzie radości i wesela w smutnych facjatkach i suterrenach. Jedna z druhen przyniosła jeszcze kilka adresów z komitetu, gdyż paczek zbywało.

Pracy było dużo, prędko jednak uporałyśmy się z nią.

Na drugi dzień, a była to wigilia, poroznosiłyśmy paczki. Płakać mi się chciało, gdy słuchałam podziękowań. Największą jednak radość sprawiła choinka; dzieci z błyszczącymi oczkami wpatrywały się w ustrojone drzewko.

Wieczorem, zasiadając do wieczerzy, myślałam sobie, ileż to rodzin nie ma dziś nawet chleba, bo cóż znaczyła nasza praca — trzy rodziny wśród tylu setek innych, nie mających nic do jedzenia.

Zdaje mi się jednak, że gdyby tak każde stowarzyszenie i każda klasa wszystkich szkół zajęły się szczerze tym problemem, to chociaż w części pomogłyby się tej strasznej nędzy ludzkiej.

Łucja Dryzkówna (kl. VI a.)
(Harcerka)

Co uczyniłyśmy w klasie, aby ulżyć nędzy, spowodowanej bezrobociem.

Kryzys . . . słowo, które dzisiaj znajduje się na ustach wszystkich niemal ludzi. Znają je wszyscy: ludzie niegdyś zamożni, dzisiaj biedacy, starzy i młodzi, nawet ci najmłodszy — dzieci. Wiele czytuje się i słyszy o strasznych skutkach kryzysu, o bankructwach najrozmaitszych przedsiębiorstw, o zamykaniu fabryk i o tych, którzy najdotkliwiej to odczuwają, o biedakach, pozbawionych pracy.

Nie wiem, od kogo wyszła inicjatywa tego projektu, dość, że na jednej z lekcji wychowawczych postanowiłyśmy jednogłośnie rozpocząć walkę ze strasznymi skutkami kryzysu. Z wielkim entuzjazmem przyjęłyśmy projekt jednej z koleżanek, aby opiekować się jedną bardzo biedną rodziną, składającą się z dziewięciu osób, która nie ma zupełnie środków utrzymania. W następnych dniach przynosiłyśmy gorliwie paczki z odzieżą i żywnością. Z prawdziwą przyjemnością patrzyłyśmy na stosy paczek, leżących wszędzie: na oknie, na szafce, a nawet na ostatniej ławce, którą w normalnych warunkach zajmowały nasze teczki. Muszę dodać, że nie był to bynajmniej widok estetyczny, niemniej jednak nie

wiem, czy kiedykolwiek spoglądałyśmy na jakiegokolwiek, choćby najpiękniejsze nawet przedmioty z taką przyjemnością, jak na to właśnie nasze zwykłe, szare paczki. Zachodziło teraz drugie pytanie, kto będzie chodził do tej biednej rodziny i obdarowywał ją w imieniu całej klasy. Jednogłośnie wszystkie się ofiarowałyśmy. Ostatecznie jednak po długich dysputach orzekłyśmy, że cała klasa w żaden sposób nie może pójść razem i że będziemy tę naszą rodzinę odwiedzać kolejno po dwie albo trzy. Byłam wybranką losu, gdyż właśnie znajdowałam się w tej pierwszej „trójce”, która miała zanieść paczki. Pamiętam doskonale ten upalny, czerwcowy dzień, gdy zgrzane i zmęczone, jednak pełne, rozpierające nam piersi, dumy, przechodziłyśmy brudne, napełnione najstraszliwszym wrzaskiem przekupniów, krzykiem i płaczem dzieci, ulicę Bałut. Z prawdziwą ulgą ujrzałyśmy wreszcie ulicę Dworską, szłyśmy jeszcze z pięć minut po wyboistej ulicy, pomimo upalnego dnia pełnej kałuż grzęskiego błota i wreszcie ujrzałyśmy mały, niski domek, z okienkami, znajdującymi się tuż nad ziemią. Na wytartej tabliczce z trudem dojrzałyśmy liczbę 73.

A więc byliśmy u celu! Z pewnym lękiem przechodziłyśmy próg domku i skierowałyśmy się tak, jak nam polecono, w pierwsze drzwi na lewo.

Widok, jaki ujrzałyśmy, tak nas zaskoczył, że w pierwszej chwili nie wiedziałyśmy, co właściwie należy nam robić. Stałyśmy na progu maleńkiej, takiej może jak czwarta część naszej klasy izdebce, w której podłogę zastępowało proste klepisko.

W izbie znajdowały się dwa łóżka; na jednym z nich leżało jakieś wychudzone, bledziutkie dziecko. Wkrótce rezolutniejsze Irka wyjaśniła siedzącej na drugim łóżku, jakiejś starej babulinie cel naszej wizyty. Mniej więcej po pięciu minutach, gdy wypakowałyśmy już wszystkie przyniesione prowianty, izdebka była tak szczelnie wypełniona, że dosłownie nie można się było ruszyć. Stara babcia zaczęła nam przedstawiać pokolei swoje wnuczęta, które wstydliwie zakrywały umorusanemi rączkami niebieskie oczka. Jakież było nasze zdumienie, gdy się dowiedziałyśmy, że te wszystkie, zebrane dzieci były rodzeństwem i zamieszkiwały tę jedną, maleńką izdebkę wraz z ojcem i matką, która w chwilę potem także nadeszła. W maleńkiej Helce poznałyśmy dziewczynkę, która beztrasko bawiła się na ulicy przelewaniem wody z rynsztoka do butelki i odwrotnie, zaś czupurny, okropnie umorusany Antoś, okazał się płaczącym „na całą ulicę” dzieciakiem. Trudno opisać, jakich uczuć doznawałam, patrząc na tę bezgraniczną nędzę. Jaką śmiesznie małą i drobną rzeczą wydały mi się bankructwa ogromnych przedsiębiorstw, których właściciel co najwyżej nie będzie mógł wyjechać zagranicę, wobec tej strasznej, niemej, a jednak tak bezmiłosiernie nagiej i okrutnej nędzy! Zdaje mi się, że wszystkie odniosłyśmy mniej więcej podobne wrażenie, jednak starałyśmy się opanować i prowadzić z dziećmi i „babcią” rozmowę o ich warunkach życiowych, najpilniejszych potrzebach i t. d. Z dziećmi zaczynałyśmy mniej więcej rozmowę w ten sposób: A powiedz ty mi, Jadziu, czy byłaś dzisiaj w kominie? „Nie” — dawało się słyszeć z pod brudnej, małej piąstki, którą dziecko usilnie zakrywało swoją buź-

kę. „No, a jeżeli nie”, mówiłyśmy dalej, „to dlaczego masz takie czarne rączki, brudną buzię i rozczochrane włoski, zupełnie jak jakiś kominiarz?”

Na to pytanie odpowiedzią było kilka małych kroczków w kierunku sieni, a potem uśmiechnięta i czysta buzia dzieciaka w drzwiach. Później, gdy przyszyliśmy już następnym razem, zastałyśmy wszystkie dzieciaki pięknie pomyte i poczesane i zupełnie ośmielone. Zresztą już i pierwszym razem pod koniec naszej wizyty dzieci się stały rozmowniejsze i o wiele śmielsze.

Może po godzinie pożegnałyśmy biedną rodzinę, a właściwie tylko matkę i starą babcie, gdyż wszystkie dzieci odprowadziły nas aż do ulicy Brzezińskiej. W rozmowie z dziećmi jedna rzecz bardzo mnie zdziwiła i wzruszyła. Gdy spytałam się małej Helki, coby najbardziej chciała otrzymać, byłam pewna, że mała poprosi mnie o coś dla siebie, tymczasem najniespodziewaniej usłyszałam: „Jabym bardzo chciała dostać prawdziwą łyżeczkę dla mojej lalki.” Jak się dowiedziałam z dalszej rozmowy, Helenka miała maleńką „gałganianą” lalkę, którą bardzo, ale to bardzo kochała. Byłam wzruszona tym brakiem egoizmu u dziecka, u którego takie uczucie byłoby zupełnie usprawiedliwione. Długo szłyśmy w milczeniu, gdyż żadna z nas nie mogła mówić ze wzruszenia.

Byłyśmy jeszcze u tej samej rodziny kilka razy, a potem, potem... przyszły wakacje, beztroskie pełne wesela i samej tylko radości. Gdy przyszyliśmy do szkoły, nie myślałyśmy zupełnie o naszej biednej rodzinie. Jak ona spędziła te wakacje w brudnej, dusznej izbie, gdy myśmy wesoło skakały po polach i łąkach, myśląc tylko o sobie? Nie dowiedziałyśmy się już tego, gdyż, jak nas poinformował gospodarz, rodzina ta została wyeksmitowana i przeniosła się gdzieś za miasto. Co się z nią teraz dzieje? Może jest jej tam lepiej, a może... może... Nie mogę o tem myśleć, bo w oczach stają mi łzy na myśl, co się może dziać z tą biedną rodziną z dziewięciorgiem dzieci tam, gdzieś za miastem, pozostawionej tylko miłosierdziu Bożemu.

Teraz jednak postanowiłyśmy znowu wziąć się do tej, tak pożytecznej i przynoszącej nam tyle wewnętrznego zadowolenia pracy. Ponieważ, jak powiedziałam, rodzina, którą się poprzednio opiekowałyśmy, wyprowadziła się za miasto, więc teraz będziemy pomagały drugiej rodzinie, złożonej z czworga dzieci i matki wdowy, u której byłyśmy w tym roku dwa razy. Zorganizowałyśmy to w klasie w ten sposób, że do tej rodziny będziemy chodziły kolejno wszystkie. Praca ta daje nam nietylko zadowolenie, ale także wiele, wiele nas może nauczyć.

Ta nędza, na którą patrzymy, uczy nas szanować i oceniać to, co posiadamy, a straszne skutki bezrobocia może w niej jednej z nas obudzić chęć do pracy, której tak wielu ludzi nadaremnie pragnęłoby mieć.

H. Górską (VI A).

Okręgowe Koło
Związku Inwalidów Wojennych
Rzeczypospolitej Polskiej
w Łodzi
Ul. Gdańska 57. - Tel. 127-90.

Łódź, dn. 12 stycznia 1932 r.

Konta: Bank Gospod. Krajow.
Oddz. w Łodzi P. K. O. 63.990.

Do

Dyrekcji Państwowego Gimnazjum Żeń-
skiego im. Emilji Sczanieckiej

L. dz. 66/32.

w Łodzi.

Zarząd Okręgowego Koła Związku Inwalidów Wojennych R. P. w Łodzi składa niniejszem gorące podziękowanie Szanownej Dyrekcji oraz wychowankom Szkoły za obywatelskie zajęcie się dziećmi rodzin inwalidzkich przez zaproszenie ich na urządzoną w Gimnazjum „Choinkę”, jak również za obdarowanie naszej dziatwy a przedewszystkiem za serdeczne zajęcie się zaproszonymi dziećmi.

Rodzice tych dzieci, pełni wdzięczności, wzruszeni są serdeczną gościnnością, jaką znalazły dzieci ich na „Choince” i za naszym pośrednictwem ślą Szanownej Dyrekcji i Jej wychowankom serdeczne „Bóg Zapłać”.

Zarząd ze swej swej strony wyraża swą radość, że społeczeństwo i jego młode pokolenie nie zapomina o tych, którzy w obronie Polski stracili swe zdrowie, dając tego tak miłe dowody, które w sercach naszych członków i ich dzieci zachowują stałą wdzięczność.

Z wysokim poważaniem

Za Zarząd:

Sekretarz:
(—) Wł. Grabowski.

Przewodniczący:
(—) J. Ćwięka.

Kierownik Biura Rozkl. Afiszów:
(—) E. Hoffman.

Kuchnia dla bezrobotnych na Widzewie.

Straszliwa nędza i bezrobocie w Łodzi musiały wywołać pewien odruch ze strony społeczeństwa. Tysiące ludzi wołało „jeść” i obowiązkiem całej ludności było, aby rzesze te, pozbawione pracy, nakarmić. Na terenie m. Łodzi zaczęły więc powstawać bezpłatne kuchnie dla bezrobotnych.

W bardzo krótkim czasie powstało 15 kuchen, rozrzuconych na terenie całego miasta. 13 kuchen dla robotników, 1 kuchnia dla bezrobotnej inteligencji i 1 kuchnia rytualna dla ludności żydowskiej. U nas na Widzewie powstała także taka kuchnia, 15 listopada. Mieści się ona przy ulicy św. Kazimierza 6. Najprzód powstało Chrześcijańskie Towarzystwo Dobroczynności pod przewodnictwem ks. Cz. Stańczaka, proboszcza tejszej parafji. Na jednym z zebrań ksiądz podał wniosek, aby utworzyć komitet „Doraźnego Posiłku”.

Wniosek został przyjęty, wybrano zarząd. Z początku było bezrobotnych 50, teraz już liczba wzrosła do 205. Wydano już 2000 obiadów. Panie w komitecie pracują bezinteresownie, jedna tylko kucharka pobiera pensję, lecz ona musi być codziennie od godz. 8—15. Codziennie przychodzą trzy kobiety, z tych, co pobierają obiady, aby pomóc przy gotowaniu. Obecnie znajdujemy się w małym jasnym pokoiku zamienionym na kuchnię. Kucharka uwija się jak w ukropie, niedługo już będzie 12, o której się schodzą bezrobotni.

Jednocześnie pali się w trzech piecach, aby tylko zdążyć. Jedna z pań kroi i waży chleb, po ćwierć kilo dla każdego. 12 godzina: obiad ugotowany, wchodzi pierwszy bezrobotni. Boże, jak oni wyglądają! blade wynędzniałe twarze, oczy zapadłe. Rzadko na których ustach zakwitnie uśmiech. Większość patrzy smutno lub ponuro. Jedni przychodzą z garnuszkami, inni bez. Dlaczego? zapytuję jedną z pań. Otóż jedni mają liczne rodziny, więc zabierają jedzenie do domu, inni znów wolą zjeść obiad na miejscu. Podziwiamy sprawność i szybkość w wydawaniu obiadów.

Praca jest bardzo dobrze zorganizowana. Bezrobotny podaje swój talon, jedna z pań naczy na liście z wykazem bezrobotnych, pobierających obiady, aby nie było nadużyć i stempluje, kucharka nalewa zupę do garnuszka, albo do miseczki, druga pani wydaje chleb. Następnie przechodzimy do drugiej sali t. zn. jadalni. Na środku stoi długi stół, pokryty białym papierem, naokoło ławy. Znajdują się tutaj mężczyźni, kobiety i dzieci: około 50 osób, przeważnie robotnicy i robotnice. Jedni schludnie odziani, bieda nie zdążyła jeszcze ich obedrzeć ze wszystkiego, obok nich inni nędznie ubrani. Szaliki na szyjach zakrywają brak kołnierzyka, buty podarte wskazują na tragiczną sytuację tych ludzi, dla których obiad, wydany w kuchni, jest nieraz jedynym pożywieniem, mającym starczyć na cały dzień. Kobiety są przeważnie w chustkach.

Przed każdym stoi talerz pożywnej zupy i duża kromka chleba.

Z początku panuje cisza, jedzą łapczywie, aby zaspokoić pierwszy głód; ze sposobu jedzenia można poznać, że niektórzy nic w ustach nie

mieli. Powoli ożywiają się wszyscy, zaczyna się urywana rozmowa o wszystkim i o niczym, mówią trochę o swoich zmartwieniach i o tem, czy dostaną pracę. Ludzie ci dziękują gorąco Bogu i ludziom za ten obiad. Stałam trochę na uboczu i obserwowałam nieznacznie tych ludzi, mimowoli zatrzymałam wzrok na jednym człowieku i ku mojemu zdziwieniu poznałam naszego sąsiada! Odwrócił szybko głowę i zaczerwienił się. Wychodzę z tej sali, ludzie ci krępują się naszą obecnością.

Kiedy znalazłam się w domu i przypomniałam sobie niektóre twarze, jakieś przykre ogarnęło mną uczucie.

Danuta Grzesiakówna (kl. VI-a).

Nasza wycieczka do kuchni dla bezrobotnych.

Gwar w klasie i rwetes. „Co się dzieje? — pyta ciekawy promień zimowego słońca, zaglądając przez wielkie okna; ze zdumieniem nadśluchuje.

— Wiesz co, Stefa, — odzywa się Irka, o kręcących się włosach, do poważnej sąsiadki za plecami — ponieważ mamy zwiedzić jakąś instytucję, „kropnijmy się” do Związku Techników, tam wydają obiady dla bezrobotnych i dla „najbiedniejszych”.

— Dobry masz pomysł — odrzeknie poważna Stefa — ale ja nie wiem, gdzie to jest.

— To głupstwo, pójdziemy do Techników, adres mam, tam nam powiedzą, gdzie wydają obiady.

No i dwie „nimfy” ruszyły wielkimi krokami do celu swej pielgrzymki.

Nareszcie doszły do mety. W bramie obrzucił ich podejrzliwym spojrzeniem stróż w ogromnym kozuchu. Pierwsza zdobyła się na odwagę Irka.

Proszę Pana, gdzie wydają obiady?

Ee . . . ee . . . ee . . . prr . . . rosze . . . P . . . a . . . ni — wystękał zagadnięty — tto . . . nnie . . . tut . . . ttaj, pod dwieście trzydziestym . . . szóstym . . . ee . . . ee . . . pod dwieście . . . trzydziestym drugim.

Podziękowawszy uprzejmemu stróżowi ruszyły dalej . . .

— Wiesz Stefa?

— No . . .

— W rzeczywistości, to ja już nie wiem, gdzie to jest.

— Wiesz, że ja wkońcu też nie wiem, ale jakoś trafimy, grunt, że wiemy numer domu, a o resztę zapytamy.

Tak pocieszone idą rażno dalej. Wreszcie podchodzą do maleńkich domków, rzeczywiście jest to numer sto trzydziesty drugi, wchodzi do jakiegoś korytarza.

— Stefa, Ty będziesz mówiła pierwsza, dobrze—

— O mądra jesteś, tyś odważniejsza.

— Zresztą zobaczymy, pewnie to jest w podwórzu.

Wchodzą na jakieś drewniane schody, niewiadomo pogo i naco. Wreszcie mała dziewczynka, widząc błędzące dwie duszyczki, ulitowała się i wyszła.

Stefa, zdobywszy się na odwagę, rzekła:

— Maleńka, nie wiesz, gdzie wydają obiady?

— E, to nie tutaj, to w portjerni — odrzekła rezolutnie mała.

— Cóż robić, jazda dalej. Wiesz, Stefa, zaczyna mi się robić wesoło, biedni zjedzą obiad, a my się dopiero zjawimy i nie będzie ani jednego.

— Tak źle znów nie będzie — pocieszała Stefa.

Ha! Ciężko westchnąwszy nad swą ciężką dolą, wlażyły do drugich drzwi. Ponieważ (dziwnym zbiegiem okoliczności) Stefa zapomniała chusteczki, a może ze strachu, pociągnęła nosem.

— Irka, kapusta pachnie — krzyknęła na cały głos.

— A, masz rację — odrzekła również cicho Irka — to pewnie już tu, ale w które drzwi teraz zapukać? Poczekaj, zaraz zobaczę — i zająrzała przez dziurkę od klucza.

Przy stole siedział człowiek i „wcinał” oną kapustę, co tak zapachniała zgłodniałej Stefie.

— To nie tu, a może tam — spojrzała w drugą — ciemno choć oko wykol, ej Stefa lepiej wiać.

To rzekłszy, buchnęły kaskadą śmiechu w niegościnne drzwi i poszły szukać dalej.

Włażą znów w jakiś kwadratowy korytarzyk. Nic. Zrozpaczone, załamawszy ręce, wznoszą je błagalnie ku niebu, z góry odzywa się głos:

— A co panienki sobie życzą?

— Ach, proszę Pani, gdzie tu wydają obiady — dwa błagalne głosiki popłynęły ku nieznanej personie.

— Pod 226.

Jak postrzelone skoczyły ku drzwiom, uprzednio podziękowawszy nieznałomej.

— Już dwieście dwudziesty szósty.

Lecz tu zabrakło odwagi.

— No wchodźmy — pociągnęła za rękaw Stefę Irka.

— Ha, jak trzeba, to trzeba — weszły. Jakaś szara portjerna, potem podwórko, wóz jakiś z kartoflami, wreszcie znajdują wejście.

Bardzo schludny korytarzyk, z boku słyhać brzęk łyżek o miski. Wchodzą do kancelarii, gdzie sekretarka pyta o powód odwiedzin, potem przedstawia ich Pani, ubranej w długi biały kitel, w białym czepczku, mile uśmiechającej się do dwóch zawstydzonych pańienek. „Biała Pani” oprowadza, wszystko wyjaśnia. Zachodzą do dużej szarej sali, w środku stoją proste stoły i ławy, takie smutne i szare, na naczelnym miejscu wisi ogromny Orzeł. Ten Orzeł i „Biała Pani” wnoszą radość i uśmiech na zmartwione i zbiedzone twarze.

— Codziennie 1280 osób spożywa obiad, złożony z zupy pożywnej i ćwiartki chleba. 1200 osób starszych i 80 dzieci — wyjaśnia im „Biała

Pani” — otrzymuje ciepłą strawę. Niech panienki spojrzą, ten maleńki, zbiedzony chłopczyzna pięcioletni przychodzi tu codziennie po obiad dla swej babuni, która wychowuje go; chłopczyk jest sierotą. Babcia ciężko chora leży w łóżku, a ten maleńki, taki sam, przychodzi dla niej po obiad. Dziś dostał paltko od jednej z Pań, nie może biedny jeść, tak mu się spieszy do babuli pokazać paltko. Obok niego siedzi babcia, ręce jej się trzęsą ze starości, jest bezdomną, w takiej starej podartej chuście, z wyblakłemi oczyma, codzień staje przy tem białem okienku i drżącemi rękoma bierze swą porcję. A tu siedzą chłopcy ze szkół powszechnych. Dla niejednego z nich ten posiłek jest jedyną strawą, jaką dostają przez cały dzień. Zmiatają też z mysy do czystego, nieraz, gdy zostanie, dostają jeszcze.

— Widzą panienki, ten bezrobotny ma rodzinę z 9 osób złożoną, tamci już poszli, a on tu został. On ma czas iść tam, gdzie zimno i pusto. Tu dobrze.

Cicho padają słowa „Białej Pani”.

Z każdego miejsca podnoszą się smutne oczy i patrzą na nie, że aż im ciężko od tych zięjących smutkiem i beznadziejnością oczu.

— No, a teraz chodźcie panienki, pokażę Wam naszą kuchnię — przerywa milczenie „Biała Pani”.

Otrząsnąwszy się z dziwnego przygnębienia, wchodzimy do kuchni. Na środku grupka kobiet siedzi nad stosem kartofli. W jednym kącie stoją dwie ogromne kadzie, jedna już pełna oczyszczonych kartofli, druga czeka. W drugim końcu kuchni stoją piece z wmurowanemi ogromnemi kotłami, z jednego z nich wygląda dwumetrowa łycha, obok stoi mniejszy kociołek, do którego wlewają tą „łyżeczką” zupę, stąd jedna z kobiet wlewa warzachwią do misek. Stół, wypełniony miseczkami, stoi koło dużej zmywalni. „Biała Pani” zaprasza do spróbowania zupy, odmawiają z myślą, że mają w domu swoje, a nie godzi się uszczuplać tego, co jest danem dla najbiedniejszych.

Zapomniałam panienkom powiedzieć — wtrąca „Biała Pani”, że na zakupienie produktów opodatkowali się członkowie Związku Techników i niektóre fabryki. Widziały pewnie panienki ten wóz pełen kartofli, to dla nas przywieźli.

Podziękowałyśmy z całego serca „Białej Pani” i ze ściśniętymi sercami opuszczałyśmy dom, w którym tyle dobrego zdziałała szlachetność.

Na ulicy żadna z nas już się nie śmiała. **Irka Moczulska (VI-a).**

Na lodzie.

Lecę. Stalowe łyżwy są mych nóg skrzydłami.
W kwadracie równi białej zamknięta ma droga.
Dalej białość niezmierna, nieskończona dal.

Cudnie! Lampa się śmiesznie kołysze nad nami . . .
Lecimy: ja i inni, małe twory Boga,
A każdy niesie radość, troskę, czasem żal.

Tam muzyka: jej dźwięki poją nas i chłoną
Szarość dusz. Potem w blaskach giną nieświadomie...
A blaski żółte, złote, srebrne... lśnią się skry.

Lecę. A iskry śniegu drżą, palą się, płoną.
Idzie urok przedziwny. Śnią sen nieświadomie.
Wszystko tu snem i złudą: nawet innych sny.

M. Widemanówna (VIII).

Lewa, prawa . . .

Moim młodszemu koleżankom
ze ślizgawki poświęcam.
L. H.

Ślizgawka.

Na dźwięk tego słowa niejedna z nas uśmiecha się radośnie i gotowa jest oderwać się od wielkich zajęć i . . . jazda na ślizgawkę.

Inne natomiast uśmiechają się mniej radośnie — tak słodko się śmieją, jakby zażywały $Mg SO_4$ (sól gorzka).

Jakżeż tu można wesoło się śmiać, kiedy wszystko boli!

Tak, dosłownie wszystko!

Bo nietylko jeździ się na łyżwach. Na to mogą sobie pozwolić wytrawni łyżwiarze. A my, nowicjuszki, jeździmy na czym się tylko da: i na kolanach (co się bardzo często zdarza), i na dłoniach, i na łokciach, a już najczęściej — to wcale nie jeździmy.

Tak to bywa pierwszego dnia.

Och, ta „pierwsza ślizgawka”!

Pamiętam ją doskonale, jakby była dziś! (nic dziwnego, bo po wczorajszej tak się czuję jak po „pierwszej”).

Byłam bardzo odważna, a szczególnie w domu.

Gdy przykręcałam łyżwy, ręce mi trochę drżały; ale to z zimna, niech nikt nie przypuszcza, że ze strachu!

Wychodzę z szatni . . . Tuż obok lśni gładka tafla lodu.

Ja mam na niej jeździć?!

Nie, to niemożliwe, to nad siły! W oczach mi dziwnie ciemno, już i nogi zaczynają drżeć . . . Czy z zimna? Chyba nie . . . Mam wrażenie, że idę do odpowiedzi z matematyki (co przyjemniejsze, to jeszcze dotąd nie wiem).

Ha trudno, raz kozie śmierć!

Chociaż odwaga moja w amerykańskim tempie dąży do zera, jednak zdobyłam się na ten czyn heroiczny i zstępuję na lód. Dla pewności trzymam się kurczowo brata i jedynie w nim pokładam nadzieję.

A on, jak zresztą każdy brat, nie jest wzorem altruisty — prowadzi mnie na środek placu i zaczyna perswadować:

„Moja droga, ty się nigdy nie nauczysz jeździć, jeżeli będziesz się wiecznie kogoś trzymała. Musisz sama trenować. Mów sobie: lewa, prawa, o patrz . . .”

I zastosowując praktycznie „teoremat o lewej i prawej”, odjechał zadowolony z udanego konceptu.

A ja? . . .

Stoję jak słup lodu i przez mgłę tylko widzę „zwiewającego”.

Takiś ty, myślę, puściłeś mnie kantem, więc dobrze, bez łaski . . . poczekaj . . . fortuna kołem się toczy.

Jutro mnie znowu poprosisz o śniadanie do szkoły, powiem ci: lewa, prawa”

Z ciężkiem sercem zaczynam próbować.

Najpierw odpycham się lewą nogą, potem prawą, lewą, pra . . . nie zdążyłem dopowiedzieć, już leżę jak długa.

Po uciążliwych tarapatkach wstaję wreszcie, ale poto, żeby znowu upaść.

I tak wciąż.

Zniechęcona i zła na cały świat, chciałabym odpocząć.

Mam pecha! Jak na złość ławka tak daleko!

Po dłuższych i krótszych przystankach (zależy w jaki sposób padam), docieram wreszcie do upragnionego miejsca.

Ławka!!!

Zdaje mi się, że siedzę na najwygodniejszym w świecie fotelu. Przytykam oczy, . . . i jak to zwykle o zmierzchu bywa, zaczynam marzyć . . .

Naturalnie pięknie holendruję, robię pistolety, ósemki, jakieś niezemskie wyczyny . . .

Najlepsi łyżwiarze mnie podziwiają, zachwyt nie ma granic.

Wtedy brat chwali się:

„To ja ją tego wszystkiego nauczyłem”.

Ty? krzyknę zaperzona, ty mnie nauczyłeś jeździć? Ty?

A pamiętasz: „lewa, prawa”?

Ja także to przypominałam sobie i otrząsnęłam się z zadumy.

Och ten nieznośny ból w kolanie (na szczęście tylko lewej nogi) dokucza mi strasznie.

Położenie moje nie jest bynajmniej godne pozazdroszczenia.

Oczy mi się „pocą”.

No, ale „szkoda moich łez, wszystko ma swój kres”, wstaję i posuwam się naprzód.

Naprawdę mam pecha.

?

Dziura w lodzie!

I rzeczywiście wszystko ma swój kres! Moja jazda również. Szybko odkręciłam łyżwy i rozgoryczona wracam do domu. Miałam szczerzy zamiar wyrzeczenia się raz na zawsze tej „milutkiej” rozrywki.

Minęły cztery lata od czasu mojej pierwszej ślizgawki.

Często z bratem wspominam stare dzieje „lewej, prawej” i chcąc, nie chcąc, przyznaję mu rację, bo: jeżeli chcesz nauczyć się jeździć na lodzie, polegaj tylko na sobie, zachowaj odrobinę dobrej chęci, a odwaga Twoja powinna „dążyć do plus nieskończoności”.

Wtedy to „holendry”, pistolety, ósemki etc pójda Ci łatwo i staniesz się niewolnicą tego sportu.

M. Hajkówna (VII)

Sprawozdanie z działalności Gminy szkolnej za okres od 1 września 1931 r. do 1 lutego 1932 r.

Dnia 30/X-31 r. ukonstytuował się nowy wydział wykonawczy Gminy, w skład którego weszły koleżanki: Bednarkówna jako przewodnicząca, Bredelówna jako viceprzewodnicząca, Michalecka i Koszańska jako sekretarki oraz Janiszewska jako skarbniczka. Tak jak w ubiegłym roku szkolnym Gmina obejmuje wszystkie samorządy klasowe oraz zrzeczenia na terenie naszego gimnazjum. W pierwszym półroczu odbyły się 4 zebrania sejmiku oraz 5 zebrań wydziału. Na zebraniach wydziału omawiane były sprawy Gminy; wydział przygotowywał wnioski na sejmik. Wnioski, zatwierdzone przez sejmik, wchodziły w życie. Komisje i koła, powołane w przeszłym roku szkolnym dla zorganizowania życia na terenie naszego gimnazjum, działają nadal i w bieżącym roku a więc: komisja higieniczna, komisja opieki nad pomocami naukowymi, komisja oszczędnościowa i koło korepetytorek.

Przewodniczącą komisji higienicznej jest kol. Meyerówna. Kąpiel kosztuje 50 gr. Koleżanki niezamożne zwalniane były do połowy z opłaty, niektóre zaś korzystały z kąpeli zupełnie bezpłatnie. Każda klasa ma wyznaczony swój dzień kąpielowy. Kąpało się ogółem 276 uczenic. Należy stwierdzić, że w porównaniu z przeszłym rokiem liczba kąpiących się uczenic na terenie naszego gimnazjum znacznie wzrosła.

Przypisać to należy lepszej organizacji; kąpielami bowiem zajęło się również „Koło Matek”. Komisja opieki nad pomocami szkolnymi pracowała tak jak w ubiegłym roku. I tu zaznaczył się pewien postęp; komisja bowiem zdołała utrzymać większy ład i działa sprawniej.

Komisja oszczędnościowa rozwinęła szeroką propagandę oszczędności na terenie naszego gimnazjum. W dniu święta oszczędności, to jest 31/XI-31 r. urządzono pochód a kilka prelegentek — uczenic wygłosiło krótkie referaty w poszczególnych klasach na temat oszczędności.

W tym też dniu komisja rozdała 15 skarbonek, przysłanych z P. K. O. koleżankom, które najwięcej zaoszczędziły pieniędzy. Od początku roku komisja sprzedała znaczków za 237 zł.

Przewodniczącą koła korepetytorek jest kol. Rączkówna. Obecnie jest 65 członkiń koła, z których 21 otrzymała lekcję. Z 5% opłaty od lekcji wpłynęło 13 zł., z których 10 zł. 10 gr. zostało złożone u skarbniczki.

Gmina w dalszym ciągu wydaje czasopismo „Młodzieńczy Lot”.

Przewodniczącą redakcji jest Wiśniewska Kinga. W pierwszym półroczu wydano 2 numery piśmka (11. 12). Obecnie wszystkie uczenice są prenumeratorkami „Lotu”, opłata wynosi 20 gr. miesięcznie.

Gmina rozwinęła działalność humanitarną. Każda klasa oraz harcerstwo opiekuje się jedną biedną rodziną, której co pewien czas wysyła paczki z żywnością i odzieżą. Podobną działalność na terenie naszego gimnazjum rozwinęła również organizacja „Czerwonego Krzyża”. Hufiec Szkolny zorganizował „choinkę” dla 20-ga dzieci inwalidów wojennych. Koło Czerwonego Krzyża — choinkę dla dzieci z Ochronki.

Celem powiększenia funduszu „Osiedla” Gmina rozsprzedaje broszurki p. t. „Z zagadnień dydaktycznych”.

Na jednym z zebrań sejmiku została utworzona komisja, która ma zająć się organizacją sądu koleżeńkiego oraz ułożeniem dlań kodeksu.

Sekr. (—) **Michalecka**

(—) **Bednarkówna**
przew.

Sprawozdanie Spółdzielni Uczenic

przy Państw. Gimn. Żeńsk. im. E. Sczanieckiej za okr. od 1.IX.1931r.—1.II.1932r.

W okresie sprawozdawczym Spółdzielnia prowadziła następujące agendy: kasę pożyczkową oraz sklepik. Kasa pożyczkowa udzieliła członkiniom Spółdzielni pożyczek na ogólną sumę 1.191.50, to jest o 401 zł. więcej, niż w ciągu całego ubiegłego roku szkolnego. Obrót w sklepiku w ciągu tego półrocza wynosił: 1.478.50 gr., podczas gdy w ciągu zeszłego roku szkolnego wynosił: 1217.42 gr. Zarząd Spółdzielni przyznał jednej z członkiń absolwentek Stypendjum 10-lecia Niepodległości w kwocie 300 zł na studia uniwersyteckie.

Liczba członkiń Spółdzielni na dzień 1.II.1932 r. wynosi 221, w tem:
z pośród Rady Pedagogicznej 5
„ „ absolwentek . . . 83
„ „ uczenic 133

Liczba członkiń w poszczególnych klasach:
klasa I-a — 11 członkiń
„ II-a — 26 „
„ III-a — 29 „
„ III-b — 1 „
„ IV-a — 16 „
„ IV-b — 2 „
„ V-a — 5 „
„ V-b — 4 „
„ VI-a — 9 „
„ VI-b — 6 „
„ VII-a — 8 „
„ VIII-a — 16 „

W okresie sprawozdawczym liczba członkiń w porównaniu z ubiegłym rokiem szkolnym wzrosła o 84, a mianowicie:

w klasie VIII przyb. 7 członkiń
„ „ VI-a — 4 „
„ „ V-a — 1 „
„ „ V-b — 3 „
„ „ IV-a — 10 „
„ „ IV-b — 3 „
„ „ III-a — 23 „
„ „ II — 23 „
„ „ I — 10 „

Opiekunka Spółdzielni: **H. Zaborowska.**

Sekretarka: **Kowalska W.**

Przew. Zarządu: **M. Martynkówna.**

Sprawozdanie rachunkowe Spółdzielni

przy gimnazjum im. Emilji Szanieckiej za okres od 1.IX.1931 roku do 1.II.1932 roku.

Sprawozdanie kasowe.

Przychód	Rozchód
Na 1.IX.1931 r. pozostało	zł. 1018.36
Zwrot pożyczek	" 1191.50
Za sprzedane towary w Sklepiku	" 300.—
Dochód z bułek i wafli	" 5.83
Udziały i wpisy	" 25.—
Z B. G. K.	" 237.77
razem zł. 2966.46	" 90.—
	" 98.—
	<u>razem zł. 2966.46</u>

Sprawozdanie ze Sklepiku.

Na 1.IX.1931 r. pozostało towarów za	zł. 710.80
W okresie obrachunkowym zakupiono towarów za	" 1671.56
razem zł. 2382.36	<u>razem zł. 2382.36</u>

Stan czynny

Gotówka w kasie	zł. 237.77
Gotówka w B. G. K.	" 730.64
Dłużnicy	" 1465.—
Towary	" 895.05
Straty na towarach	" 7.48
Zniszczono towarów za	" 1.43
razem zł. 3337.37	<u>razem zł. 3337.37</u>

Opiekunka: *Helena Zaborowska.*

Przewodnicząca Zarządu: *Mieczysława Martynkówna.*

Stan bierny

Udziały	zł. 738.50
Fundusz społeczny	" 2170.77
Fundusz wycieczkowy	" 77.70
Zysk z bułek i wafli	" 131.40
Zysk ze Sklepiku	" 219.—
razem zł. 3337.37	<u>razem zł. 3337.37</u>

Skarbniczka: *Eugenja Nikitinówna.*

Sekretarka: *Kowalska Weronika.*

Z prac dla szkoły:
„Z ZAGADNIEŃ DYDAKTYCZNYCH”.
(Recenzje).

Kurjer Łódzki:

Ukazała się ciekawa broszura wydana przez Koło Rodzicielskie przy Państwowym Gimnazjum im. Emilji Sczanieckiej w Łodzi: „Z zagadnień dydaktycznych”. Są to próby nauczania systemem daltońskim w powyższym gimnazjum, które prowadzone były przez trzy lata. Broszura obejmuje przedmowę, w której Komitet Redakcyjny, złożony z rodziców uczenic, pisze: ... „do nas przedewszystkiem należy zająć pozytywne stanowisko wobec kryzysu, jaki dziś przeżywa szkoła średnia. To pozytywne ustosunkowanie się widzimy w podaniu osobom zainteresowanym prób i doświadczeń, zdobytych przez grono pedagogów i wychowawców. . .”

Następuje artykuł pod tytułem: „Z osobistego zetknięcia się z E. Parkhurst p. Dr. Romany Pachuckiej na Kongresie Ligi Nowego wychowania w Helsingör”.

Druga część broszury obejmuje a) nauczanie jęz. polskiego syst. daltońskim w opracowaniu pp. Dr. R. Pachuckiej, Dr. H. Stolarzewiczowej i Dr. J. Ławnickiej, b) nauczanie historii systemem daltońskim w opracowaniu p. Heleny Zaborowskiej.

Ilustrowana Republika:

Pedagog-wychowawca i rodzice znajdą w tej książeczce przykład nowoczesnego podejścia do młodzieży przez organizowanie nauki szkolnej w pracowni pod opieką nauczycielstwa, oraz przykład bardzo ciekawej pracy metodyczno dydaktycznej, którą można zastosować w każdej szkole i klasie. Wreszcie głos młodzieży podany jako wynik ankiety, przeprowadzonej wśród uczenic. Fotografie wnętrza pracowni i czytelnicy unaoczniają to, co się czasem nie da wyrazić.

Głos Poranny:

Warto wziąć do ręki skromną broszurę, można się wiele z niej nauczyć, daje dużo rzetelnego materiału do rozmyślań i dla niejednego z pedagogów może się stać bodźcem do dalszej twórczej pracy.